All communications must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.
565 Noble St.
CHICAGO, ILL.

J. F. SMULSKI i Sp.
wydawcy.



Wychodzi co czwartek

Kosztuje rocznie $1.00 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Pokwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 6go MAJA 1897 ROKU. **Nr. 18.**

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter.

Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. — Czwartek 6 Maja, Jana Later. Piątek 7 Maja, Domicyli p. Sobota 8 Maja, Stanisława. Niedziela 9 Maja, Grzegor. Poniedziałek 10 Maja, Antoniusza. Wtorek 11 Maja, Mamerta. Sroda 12 Maja, Neryusza.

Na Niedzielę III po Wielkanocy.

Ewangielia św. Jana w rozdziale XVI.

Onego czasu mówił Jezus uczniom Swoim: Maluczko: a już Mnie nie ujrzycie, a znowu maluczko, a ujrzycie Mnie, iż idę do Ojca. Mówili tedy z uczniów Jego jeden do drugiego: Co to jest, co nam mówi: maluczko, a nie ujrzycie Mnie, i znowu maluczko, a ujrzycie Mnie, a iż idę do Ojca? Mówili tedy: Co to jest, co mówi, maluczko? nie wiemy, co powiada. A poznał Jezus, że go pytać chcieli, i rzekł im: O tem się pytacie między sobą, iżem rzekł maluczko, a nie ujrzycie Mnie, i znowu maluczko, a ujrzycie Mnie. Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, iż będziecie płakać i lamentować, a świat się będzie weselił, a wy się smucić będziecie, ale smutek wasz w radość się obróci. Niewiasta, gdy rodzi, smutek ma, iż przyszła jej godzina, lecz gdy porodzi dzieciątko, już nie pamięta uciśnienia dla radości, iż się człowiek na świat narodził. I wy tedy teraz wprawdzie smutek macie, lecz znowu oglądam was, a będzie się radowało serce wasze, a radości waszej żaden od was nie odejmie.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

O ŚW. WOJCIECHU.

Kazanie (w streszczeniu) wygłoszone z okazyi 900tnej rocznicy jego męczeństwa przez Wb. ks. Józefa Gieburowskiego w kościele św. Stanisława K. w Chicago, Ill.

Naród nasz, Bracia Najmilsi, może się zwać słusznie narodem wyznawców, bo wyznawał wiarę św. wiernie i głośno, zawsze i wszędzie, a wyznawał z przysięgą na szablach. Wszakżeż w obronie wiary św. Polacy zatrzymywali piersią swoją zapędy dzikich Mongołów, zaciekłych na wiarę Chrystusową Turków, wielokrotnie łamali potęgę wrogich wierze katolickiej schizmatyckich Moskali. A tego wyznawstwa wiary katolickiej, jak przez całe szeregi wieków, od początku istnienia swojego, tak i po dziś dzień, naród nasz polski w starym kraju najdoskonalszym jest wzorem.

Nasz naród również zwać można narodem apostolskim. Bo gdziekolwiek Polak zaszedł, tam szczepił wiarę ś., a w ojczyźnie swojej, w miarę jak znaczył jej granice, szerzył ją gorliwie a szlachetnie — nie dopuścił, aby inna wiara jak katolicka, miała w niej górować.

Lecz nadewszystko nasz kochany naród polski, zawsze był — od samego początku istnienia swojego — jest i po dziś dzień i pewnie będzie za szczególną Wolą Bożą — narodem męczeńskim. Ale tem szczycić się tylko możemy przed wszemi innymi narodami, bo żaden naród nie cierpiał tyle dla chwały Bożej i dla sprawy Chrześciaństwa, ile my Polacy; — z tego cieszyć się możemy, bo to męczeństwo za wiarę dało nam żywotność — w samej śmierci żywotność,

której dowody tak chlubnie składa w dzisiejszych czasach nasza brać w starym kraju. Jako ,,owo ziarno męczeństwa, które jest obfitem nasieniem Chrześcian'', jak mówi Tertullian — tak również rzec można ,,owo ziarno męczeństwa, które jest nasieniem Chrześcian'', jest też tem samem i nasieniem żywotności i siły ducha narodu. To się sprawdza dobitnie na naszej kochanej Polsce.

Niezliczone błogosławieństwa Boże sprowadziła na Polskę śmierć męczeńska ś. Wojciecha.

Przedewszystkiem wprowadziła do serc pogańskich Polaków, kupiących się około męczeńskich szczątków, światło wiary — w sercach chrześciańskich Polaków zaszczepiła wiarę żywą, gorącą, niezłomną — ta wiara św. zaś łagodziła pogańskie obyczaje narodowe —ta wiara św. jeszcze raz powtarzam, ta wiara św. pogodziła Polaków, połączyła ich w jeden naród — zakazała swarzyć się, a natomiast przykazała miłować się po bratersku. Przy szczątkach męczeńskich św. Wojciecha Polacy poznali się, przy szczątkach męczeńskich św. Wojciecha, poczuwszy się jednym być narodem, dłoń bratnią sobie podali.

Dalej: Przedtem nikt nic o Polakach nie słyszał; Polacy w niczem, a zwłaszcza w dobrem nie zdołali równać się z innymi narodami; niczem zacnem nie zasłynęli. Są tam bajki i dziwne opowieści i cudaczne jakieś sprawy; ale światła, prawdy i dobra nie widać. Historya pewna, a co większa, zacna, rozpoczyna snuć złotą nić podniesienia narodu dopiero od chwili męczeństwa św. Wojciecha. To męczeństwo jakoś cudownie wprawiło Polskę w ruch. Kościoły i klasztory, te twierdze Wiary i zdrowej nauki, zaczęły się licznie i coraz liczniej wznosić po wszech krajach Polski. Z tych twierdz rozchodziły się promienie oświaty na całą Polskę — z oświatą żywotność i siła ducha narodowego — a z potęgą ducha narodowego rycerskość i światowa sława oręża.

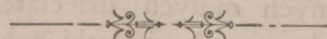
Tak jest. Dopiero kiedy krew męczennika zrosiła ziemię polską — dopiero kiedy szczątki męczeńskie św. Wojciecha na niej spoczęły, Polacy stali się narodem potężnym, który sobie shołdował pogańskich Prusaków, podbił dzikich Sasów, Czechów, Węgrów, Rusów, — ukrócił zapędy Niemców, pragnących Polaków mieczem wypędzić. Słusznie też jeden z polskich kaznodziei zowie św. Wojciecha budowniczym Polski — i dlatego słusznie i sprawiedliwie dzisiaj Wielkopolanie, ci piastunowie kolebki narodu polskiego, obchodzą z pompą, z przejęciem i nadzwyczajną uroczystością 900letnią rocznicę jego śmierci męczeńskiej, dziękując mu ze łzami w oczach tam w prastarej katedrze prastarego Gniezna u stóp trumny, że zasiał w ich sercach ziarno nieocenione wiary św. — to ziarno, które jeszcze i dzisiaj tak pięknie i bujnie rośnie, i z którego cudowną mocą Bożą, tyle prześlicznych i słodkich wyrosło owoców — to ziarno, z którego powstała Polska cywilizowana, potężna, święta. I dla nas wygnańców, Bracia najmilsi, słuszną i sprawiedliwą jest rzeczą, — wtórować tej myśli obchodowej Wielkopolan, bośmy Polacy jak oni, — wtórować ich modlitwom dziękczynnym w dniu dzisiejszym, jakie zanoszą do św. Wojciecha, by tenże Święty męczeństwem swojem za wiarę te same klejnoty nam dał co im. Ale oprócz tego potrzeba nam Bracia Najm. zanosić dzisiaj modlitwę błagalną do św. Wojciecha — modlitwę o stałość i wytrwałość we wierze. Ach! tego szczególniej nam tutaj w Ameryce potrzeba — potrzeba nam dzisiaj utkwić oczy duszy naszej w te siedm włóczni przebijających świętego naszego pobratymca, pod któremi on pada z modlitwą na ustach, z weselem niebiańskiem, ze stałością, kąpiąc się w strumieniu krwi własnej i zapytać się siebie samych,

dla jakiejże to idei św. Wojciech z takim heroizmem umiera?

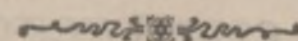
Odpowiedź, że umiera dla wzniosłej idei wiary św., że poświęca życie i mienie, aby prowadzić lud do Boga, tępić i wykorzeniać złe, i wyrosłe z niego bałwochwalstwo, powinna przeszyć na wskroś nasze dusze; popchnąć nas do naśladowania, i zapisać się zgłoskami żelaznemi w naszych sercach.

Nieprzyjaciele prawdy i wiary katolickiej coraz jawniej i śmielej pośród nas tutaj w Ameryce występują. Z całą usilnością starają się wydrzeć z naszych serc najdroższy nam klejnot i dar Boży, — wiarę św., a natomiast rozpowszechniać niedowiarstwo, bezbożność i zepsucie obyczajów. A trzeba nam wiedzieć, że im bardziej naród odwraca się od wiary św., tem więcej odstępuje od moralności i gubi sumienie w postępowaniu — tem więcej traci żywotność i siłę ducha. Apostołowie bezbożności — książki złe, gazety bezsumienne, bezbożne, gorszące, są na kształt bagna, które swym wyziewem śmierć zadaje każdemu zbliżającemu się. Ilużto braci naszej amerykańskiej uśmierciły one duchowo.

Ach! Bracia Najmilsi! czyż na wzór uroczystującego nam dzisiaj tak pięknie świętego męczennika nie powinniśmy zerwać się na nogi i stanąć do walki z tą plagą bezbożności i rozstroju naszego społeczeństwa, by też nas kosztować miała i życie i mienie? Milczenie jest w tym wypadku zdradą Boga — zaprzaniem się wiary. A zaparcie się wiary jest największą obelgą wyrządzoną Bogu. Wdzięczni być powinniśmy Bogu za powołanie nas do prawdziwej wiary i dla tego powinniśmy ją wyznawać zawsze i wszędzie, gdzie tego wymaga Chwała Boża i zbawienie bliźniego. Prawdziwe umiłowanie prawdy i rzeczywista i nieudana gorliwość we wierze chrześciańskiej nie dopuszczają obojętności we wierze — nie dopuszczają lekceważenia przepisów religii. Precz więc, precz z fałszywą tolerancyą! precz z pośród nas z nauką i zasadami wykluczającemi wiarę św. — precz z oświatą nie chcącą znać Boga — precz z postępem, kroczącym fałszywą drogą — precz mianowicie wyrzućmy z gron naszych złe książki, gazety kalające wiarę, wyszydzające cnotę i władzę świętej Oblubienicy Chrystusowej. Nasze wykształcenie i nasza oświata niechże się opiera na prawdziwej wierze chrześciańskiej — nasz postęp niech się zasadza na tem, abyśmy się stawali coraz lepszymi i pobożniejszymi. Stańmy się godnymi spadkobiercami niezachwianej wiary ojców naszych. ,,Pamiętajcie na przełożone nasze, którzy wam mówili słowo Boże, których przypatrując się dokonaniu obcowania, nasladujcie wiary''. Amen.



DZIWNE ZDARZENIE.



V.

Dokończenie.

Marya wdziawszy na się żałobę, wzięła się dalej do tego samego trybu życia, jaki przedtem prowadziła, ale już nie z tą przyjemnością i ochotą, jak dawniej, bo myśl, że Edward cierpi męki i to męki wieczne potępionych, ani na chwilę ją nie odstępowała.

Jeżeli się modliła za duszę Edwarda, to i wtedy nachodziła ją wątpliwość, czy może jej modlitwa być skuteczną, bo i cóż wreszcie mogą pomódz modlitwy potępionym? — Te męczarnie duszy osłabiały biedną kobietę bardziej, niż najcięższa praca fizyczna; poczęła upadać na siłach, życie jej się przykrzyło, z ust jej wydobywały się słowa narzekania i rozpaczy, do domu coraz bardziej wciskało się ubóstwo, słowem, ciężka

jej dola codzień się wzmagała, przedstawiając obraz strasznej nędzy. Nawet w modlitwie nie znajdowała dla siebie pociechy i ukojenia serca, jak ongi, bo zwątpienie, czy jej modlitwa może się na co przydać, nigdy ją nie opuszczało.

W krótkim czasie Marya tak podupadła na siłach, że nawet już nie była w stanie udać się na morze. Co sobie była dawniej zaoszczędziła, poszło na żywność, tak że teraz zmuszona była szukać ostryg i ślimaków morskich, aby jako tako wyżywić siebie i biedne dziecięta. Jednego dnia już tak osłabła, że nie była w stanie podnieść się z łóżka, leżąc na niem prawie bez przytomności, tak że zaledwie mogła dosłyszeć, jak zgłodniałe dzieci wołały: ,,Mamo chleba'' i płakały.

Sprawiedliwy Boże! Ileżto w tej chwili niewinnych małych dzieciątek płacze za chlebem, bo im ich malutki żołądeczek nie daje spokoju i byłyby zadowolone, gdyby im kawałeczek, przynajmniej jeden raz do gęby dano twardego, czerstwego chleba; ale i tego im nikt nie daje; biedactwo kwiląc cierpi głód dalej.

Ileż to niemowląt wyciąga rączęta i drobne paluszki za pożywieniem do matek, które same będąc wynędzniałe i zgłodniałe nie są w stanie zaspokoić ich głodu. Co za niemiły i przykry widok, gdy się widzi, jak te dziatki zawiedzione w swem oczekiwaniu opuszczają na dół swe rączęta, nie mogąc dostać od matki ani skibki chleba, bo sama nic nie ma! — O jak okropny żal i ból musi wtedy rozdzierać serce takiej biednej matki! — A tymczasem w tej chwili przed wielomażto rozgrymaszonymi pieszczochami nadskakuje mamka podając im bardzo piękne i kosztowne cacko, które bierze jakby od niechcenia grymaśniczek, a wnet je sobie sprzykrzywszy, rzuca w kąt i druzgocze! — Tak bywa i tak niestety będzie, dopókąd w sercach ludzkich będzie panowało samolubstwo zamiast gorącej i prawdziwej miłości bliźniego! — — —

Marya prawie bez sił leżała na swem nędznem posłaniu, a około niej płacząc i kwiląc wiły się biedne dziecięta, bo głód zakradał się do izby. Nieszczęsna kobieta mimowolnie rzuciła okiem na zieloną powierzchnię morza, gdzie dawniej z wielką ochotą i przyjemnością szukała dla siebie kawałka chleba. A teraz — —?

Naraz zdaje jej się, jakby jakieś widmo, ale nie widmo głodu, jeno postać Edwarda zaglądała ciekawie przez okno do izby. ,,Co? Może on przychodzi zabrać mnie ze sobą do wieczności, a tu miałabym opuścić moje biedne dziecięta, pozostawiając je na pastwę głodu?'' Te i tym podobne marzenia snuły się jej po głowie, gdy z boku oczy zaczęły się jej do snu kleić.

W tem otwierają się drzwi, przez które z promieniejącą od radości twarzą wpada Grepa, mając na piersiach zawieszony medalik Matki Boskiej. Obaczywszy swą żonę na łóżku bladą i z sił wycieńczoną, rzucił się do niej, a wyciągnąwszy ręce uściskał ją i ucałował i nie mogąc na razie słowa przemówić dla nadmiaru radości i szczęścia tylko płakał. Marya nie dowierzając swoim zmysłom, myślała, że to sen. Tymczasem Edward klęcząc przed łóżkiem wołał w uniesieniu: ,,Witaj, Maryo! mój drugi Aniele Stróżu! Pomóż mi podziękować Panu Bogu i Najśw. Maryi Pannie za łaskę ocalenia!''

Gdy Marya te słowa usłyszała, zdawało się jej, jakby ktoś jaki ożywczy balsam wlał do jej serca i całego ciała. Naraz poczęła do siebie przychodzić i czuć się silniejszą; modliła się z Edwardem, a modlitwa ta już nie pochodziła z żalu i boleści, lecz z wielkiego wesela i radości.

Po kilku dniach opuściła łoże, na które ją rzuciła nędza i zmartwienie. Jej radość nie znała granic, bo Edward nie tylko uni-

knął śmierci przy zatonięciu okrętu pod Lyssą, lecz uniknął drugiej jeszcze gorszej śmierci, bo wiecznego potępienia. Wojna i niebezpieczeństwo tak nań podziałały za łaską Boską, że pękły w jego sercu lody niedowiarstwa i stał się zupełnie innym.

Jeszcze nigdy tak uszczęśliwioną nie siedziała Marya obok Edwarda na ławce przed chatą, jak pewnego najbliższego wieczora, kiedy mąż, po obfitym połowie ryb odpoczywał po całodziennej pracy.

,,Edwardzie! opowiedzże mi, jakto było z twojem ocaleniem, abym, poznawszy dziwne zrządzenie Boga, umiała za to tak, jak mu się należy, podziękować!''

,,Jak się stało?'' odrzekł Edward, ,,opowiem ci zaraz, ale pierwej idź i przynieś dzieciom chleba, aby mając co jeść uciszyły się''.

Matka poszła i przyniosła dla Anusi i Antosia po kawałku białego chleba, który smacznie zajadając, bawiły się w piasku.

Edward rozpoczął opowiadanie:

,,Kiedy koniecznie chcesz wiedzieć, co się ze mną działo, jak od ciebie odszedłem, otóż posłuchaj! — Po ostatniem pożegnaniu się z tobą niezmiernie mi było ciężko na sercu, żem cię z dziećmi bez zaopatrzenia i w niedostatku musiał opuścić. Tak mi ciężko było, żem nawet nie mógł iść; zdało mi się, jakbym kulę ołowianą miał do nóg uwiązaną. Gdym się przywlókł do Ankony, przeznaczono mnie do jednego z największych okrętów tam, gdzie się właśnie nasz admirał znajdował''.

,,A cóżeś uczynił z medalikiem Matki Boskiej?'' wtrąciła Marya. ,,Nosiłżeś go ciągle na piersiach?''

Na jakąś chwilę zamilkł na to pytanie Edward, jakby się namyślając, czy ma prawdę powiedzieć, czy też nie. Ale potem mówił dalej: ,,Nie! — Gdym przyszedł do ludzi, schowałem go do pudełeczka papierowego i włożyłem do kieszeni, aby nikt o nim nie wiedział. Mimo to niektórzy z moich kolegów o tem się dowiedzieli, że mam medalik i takiej wrzawy z tego narobili, jakby do ich rąk dostał się jaki złodziej, schwytany na gorącym uczynku; zaraz za chwilę cała czereda naokoło mnie stanęła, śmiejąc się szyderczo. Zmięszany i do żywego rozdrażniony, wziąłem za pudełeczko i — — — i wrzuciłem je razem z medalikiem do wody!

— — Przebacz mi to Maryo, bo ja to już dawno odpokutowałem! Pewien pobożny majtek widząc, co uczyniłem, złajał mnie za to, jako bezbożnika, a sam zrzuciwszy czem prędzej ze siebie bluzę, nie namyślając się wiele, rzucił się w morze. Za parę minut był już z pudełeczkiem na pokładzie okrętu. Medalika nie chciał mi zwrócić. Mając ten tak piękny i wzniosły czyn jego przed oczyma, wstydziłem się mego postępku bardziej przed nim, niż przed ową zgrają szydzących, pragnąc bądź co bądź odzyskać czemprędzej mój medalik. Udało mi się raz przedostać do niego, a kiedym był z nim sam na sam, prosiłem go usilnie, czyby nie był łaskaw odprzedać mi mój medalik. Ale ów przezacny człowiek był tak dobrym, że mi go zwrócił napowrót nie wziąwszy odemnie ani grosza. Pełen radości wziąłem od niego medalik i schowałem go dobrze przy sobie, poprzysięgając, że go już odtąd nigdy z ręki nie wypuszczę, dopókąd go tobie napowrót nie oddam. Skorośmy wypłynęli z portu ku Dalmacyi za okrętami austryackimi, chcąc je wyzwać do bitwy, jakaś złowroga cisza zapanowała pomiędzy towarzyszami. Wprawdzie jeden z nich się odezwał, że w mojej kieszeni muszą rosnąć medaliki, bo tam się już znowu inny znajduje, lecz na te jego słowa nikt nawet najmniejszej nie zwrócił uwagi. Pod małą wysepką, zwaną Lyssa, przyszło do walki. Zaraz na początku admirał opuścił nasz okręt ,,Re d'Italia'', udawszy się na inny. To nas zaraz niepokoiło i poczęliśmy przeczuwać coś niedobrego. Niestety nasze przeczucie się spełniło. Wiem

tylko tyle, żeśmy byli ze wszystkich stron w niezmiernych opałach. Działy grały tu i tam, a tumany dymu były tak wielkie, że nie można było wcale rozróżnić przyjaciela od nieprzyjaciela. Raz już nawet cieszyliśmy się, bo się nam zdawało, żeśmy odnieśli zwycięztwo. Tymczasem było to złudzenie. Niezadługo bowiem potem austryacki okręt siłą pary na nas natarł i przedziurawił nasz wspaniały okręt, który zaraz zatonął. — — — Co się potem dalej zemną działo, nic nie wiem aż dotąd, dopókąd mnie za pomocą ratunkowej łodzi austryackiej nie wyciągniono z wody. Ci, którzy mnie uratowali, byli Dalmatycy, mówiący po włosku. W ostatniej chwili niebezpieczeństwa wyjąłem twój medalik z kieszeni i — — z nim utonąłem. Widać, że musiałem się znajdować na mieliźnie, bo — jak mi opowiadali austryaccy majtkowie — trzymałem w zaciśniętej garści medalik, a wstążka od niego pływała na powierzchni wody. Jakiś Austryak widząc pływającą wstążeczkę, chciał ją podjąć, ale tymczasem drugi jej koniec był przy medaliku, który, chociaż byłem bez przytomności, jednak kurczowo trzymałem silnie w rękach. W ten sposób mnie dostrzeżono i wyciągniono z wody. Inaczej byłoby już po mnie! Tak, moja Maryniu, twój medalik Matki Boskiej zachował mnie od niechybnej zguby!"

Tutaj rozrzewniony i przejęty uczuciem wielkiej wdzięczności całował ręce swej żony, płacząc z radości.

„Gdym przyszedł do siebie", ciągnął dalej opowiadanie Edward, „zaraz na klęczkach podziękowałem Panu Bogu, który był tak dobrym i zesłał na moje ocalenie Austryaków z łodzią ratunkową i Matce Boskiej, że Jej medalik ze wstążeczką stał się przyczyną, iż uniknąłem grożącej mi śmierci, bo inaczej byliby popłynęli dalej, nie domyślając się, że tam jest ktoś niedaleko pod wodą. Moja najdroższa żono, widać, żeś się musiała za mnie bardzo gorąco modlić, kiedym jako bluźnierca Boga nie zszedł z tego świata!

„O tak, mój drogi Edwardzie", odrzekła ze łzami w oczach Marya, „rzeczywiście dzień i noc modliłam się za tobą o zbawienie twej duszy, mimo to że od dłuższego czasu uważałam cię za umarłego i pochowanego! Opowiadaj dalej, mój Edwardzie!"

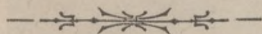
„Od czasu wydobycia mię z wody byłem uważany za jeńca austryackiego i jako takiego przyprowadzono mnie do portowego miasta Pola, gdzie musiałem czekać na zawarcie pokoju. Tutaj mając wolny czas począłem się zastanawiać nad sobą i nad życiem mojem minionem. Poznałem, żem je spędził w grzechach i niedowiarstwie, obaczyłem i to, że chociaż za moje przeklęte życie zasłużyłem na karę i potępienie, przecież Pan Bóg okazał się dla mnie łaskawym i miłosiernym, bo zamiast mnie sprawiedliwie zagubić, wyrwał mnie od podwójnej śmierci. Ta dobroć i miłosierdzie Boskie tak mi żywo stanęły przed oczyma, że mi omal serce nie pękło z żalu za moją tyloletną niewdzięczność i postanowiłem sobie czemprędzej pójść do spowiedzi. Maryo, jak długo żyję na tym świecie, nie doznałem nigdy tyle rozkoszy i tego błogiego wesela jak wtedy, gdy szedłem od konfesyonału do Stołu Pańskiego! Nigdy nie zapomnę w całem życiu mojem tej pięknej dla mnie chwili! Kiedy został już zawarty pokój między nami i Austryą, odesłano nas, których zresztą nie było bardzo wielu, napowrót do Ankony. I teraz Maryo, mój drogi Aniele, jestem przy tobie, i będę z tobą tak długo, jak długo będzie się podobało Panu Bogu utrzymywać nas przy życiu. Dzięki Panu Jezusowi wojna się już skończyła, zapanował pokój w kraju, a i pokój w naszej ubogiej chacie. Mnie wprawdzie dała się ta wojna we znaki, ale też nauczyła mię kochać Boga i

nie zmietła mię z tego świata, jak n. p. tych wszystkich, którzy szydzili z mego medalika. To też z wdzięczności za to dobrodziejstwo, ku czci Bogarodzicy chciałbym koło mojego domku wystawić skromną i malutką kapliczkę, bo mi na większą moje środki nie pozwala ą, abym Jej mógł codziennie składać dzięki za łaskawe ocalenie!"

....

Co zamyślał uczynić, to też rzeczywiście przy swojej zapobiegliwości i oszczędności doprowadził do skutku i postawił skromniutką kapliczkę na pamiątkę swego ocalenia.

Kiedy słońce miało się ku zachodowi, kiedy rolnik ocierając pot z czoła, wracał z pola ku domowi i kiedy rzemieślnik z dymiącego warsztatu na spoczynek wychodził, widzieć można było Edwarda, owego pobożnego rybaka, jak z żoną i dziećmi klęczał przed swoją kapliczką i modlił się do wszechmocnego Pana niebios i ziemi, dziękując Mu i Najświętszej Maryi Pannie za łaskę podwójnego ocalenia.



SMIERĆ NERONA.

Cesarz rzymski Nero, którego okrucieństwa, zwłaszcza przeciw chrześcianom, wszystkim są znane, doznał, jak straszną rzeczą jest wpaść w ręce sprawiedliwego Boga. Gdy już matkę, żonę i nauczyciela kazał zamordować, gdy z chrześcian czynił sobie dla rozrywki pochodnie, aby mu wieczorem oświecały drogę — gdy wreszcie Rzym podpalić kazał i cieszył się widokiem palącego się miasta, napawając się rozkosznie jękiem i płaczem nieszczęśliwych jego mieszkańców, dopełnił miary swych nieprawości.

Jednej nocy wojsko podniosło rokosz przeciwko niemu. Nero zbudził się ze snu — ale spostrzegł, że nawet straż poboczna go opuściła. Zerwał się więc z łóżka i wołał swych przyjaciół — ale żaden się nie pokazał. Wybiegł na ulicę i szukał schronienia, ale nikt go w dom swój przyjąć nie chciał. Kazał zawołać jakiego gladyatora, aby mu cios śmiertelny zadał — ale i tego nie było.

— A więc, wołał w rozpaczy, — ani przyjaciela, ani nieprzyjaciela nie mam!

Jak szalony pobiegł do rzeki Tybru i chciał się utopić — ale się przeląkł i odstąpił od tego zamiaru. Szukał potem po kieszeniach złotej puszki z trucizną, by sobie życie odebrać — ale i tę mu ktoś ukradł.

Wreszcie ofiarował mu jakiś libertyn (uwolniony niewolnik) imieniem Faon przytułek w swej willi na wsi. Wsiadł tedy Nero na lichego konia, otulił się płaszczem i zasłoniwszy głowę, puścił się z Faonem i trzema towarzyszami w drogę. Gdy usłyszał jaki szelest lub pianie koguta, drżał ze strachu i śmiertelne przechodził męki. Droga ta prowadziła w pobliżu obozu, — słyszał dokładnie, jak żołnierze wymawiali jego imię i przeklinali go straszie.

Wreszcie przybyli na miejsce przeznaczenia. Nero jednak nie miał odwagi wjechać konno do zagrody; zszedł z konia, poczołgał się na czworakach przez sitowie i zarośla po za dom, napił się w strasznem pragnieniu cuchnącej wody z kałuży i czekał, aż Faon w murze domu wyrąbał otwór. Na czworakach zawlókł się do małej izdebki niewolnika i rzucił się na łoże, czekając końca.

Senat rzymski tymczasem ogłosił go wrogiem ojczyzny i wydał wyrok, aby mu dumny kark wcisnąć między drewniane widły i tak długo smagać go kijami, aż pod razami skona.

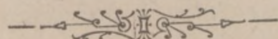
Już się mściciele zbliżali — już słychać

Wiosna.



było tentent kopyt końskich — Nero zapłakał, dobył sztyletu i pchnął go sobie w piersi.

Tak umarł Nero w trzydziestym pierwszym roku życia — w rocznicę tego samego dnia, w którym własną małżonkę ściąć kazał.



Źródełko i lipa św. Wojciecha.

O dobrą milę od Krakowa jest wioska Modlnica. Nazwa tej wsi, wedle podania ludowego, pochodzi ztąd, iż tam się ostatni raz modlił św. Wojciech -- gdy z Krakowa szedł do Gniezna a potem do Prusaków. Liczne grono wiernych chrześcian odprowadzało św. Wojciecha z Krakowa, nie mogąc się rozstać z ukochanym i świętym swym nauczycielem. Gdy już wreszcie miano się żegnać, pyta św. Wojciech:

— Nie trzeba wam czego? macie wszystko?

— Ach, Ojcze łaskawy, szepną ludziska, mamy chleba dość - ale woda niezdrowa. Nie ma źródła dobrego.

Wtedy św. Wojciech uderzył laską pielgrzymią w ziemię, a w tej chwili zdrój wody wytrysnął. Woda ta ma mieć smak przedziwny i na słabości oczne jest bardzo pomocna.

Nad tem źródełkiem, zasadził św. Wojciech lipę, która się wnet przyjęła i liśćmi okryła. Jedna zaś z kobiet, przy pożegnaniu św. Wojciecha, pokazała mu ranę od ukąszenia węża i żaliła się, że tu ludziom węże dokuczają. Wtedy rzekł św. Wojciech:

— Rozkazuję — by nigdy tu ludziom węże nie dokuczały.

Istotnie, od tej pory wężów w Modlnicy nie ma, chociaż są we wsi sąsiedniej.

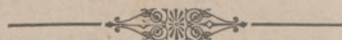
Później, po wielu latach, wiatr to drzewo wywrócił, więc ludzie zanieśli je z uszanowaniem na podwórze dworskie, lecz rano na drugi dzień lipa była na starem miejscu.

Powtarzało się to trzy razy. Rzekli wtedy ludzie:

— Widać trzeba ją tu zostawić, niech dalej rośnie.

I tak zrobili. Drzewo zapuściło nowe korzenie i stoi do dziś. — I do dziś wieś Modlnica — przypomina drogie wspomnienia o św. Wojciechu.

Dawniej ta wioska nazywała się *Zagórze*.



Pielgrzymka Życia.

Dokąd, dokąd, człowiek pyta,
Wiedzie ta życia drożyna?
Kiedy za kij kruchy chwyta
I pielgrzymkę swą poczyna.

Różne ścieżki, różne drogi,
Krzyżują się w życia biegu;
Wśród rozkoszy i wśród trwogi
Do jednego dojdziem brzegu!

Nikt godziny nie oznaczy,
Szumią niknąc lata, wieki;
Nikt nie powie, czy daleki
Brzeg nadziei — lub rozpaczy!

Ale dojdziem, gdzie przed nami
Doszło pielgrzymów tysiące,
Gdzie witają pod palmami
Jasne zmartwychwstania słońce.

I my dojdziem; wśród zamieci
Nieraz ciemna, zdradna droga;
Nieraz puszczą burza leci,
Oko płacze i drży noga.

I my dojdziem, miłość wiedzie,
Miłość skra wieczności słońca;
Miłość pewnie nas nie zwiedzie;
Miłość wytrwa aż do końca!

I my dojdziem, bo pochodnia
Świętej wiary naprzód świeci;
Cnota drogą — przepaść zbrodnią,
Nad przepaścią miłość świeci!

Kiedy błyśnie brzeg z daleka,
Nasza pielgrzymka ustanie,
A na brzegu grób nas czeka —
A w tym grobie zmartwychwstanie.

Powiastki Maryańskie.

I.

Dziecięca ofiara.

Pewna, szlacheckiego rodu pani, jak opowiada O. Segneri, zubożała z czasem bez własnej winy tak dalece, że nawet w końcu nie mogła zapłacić komornego za swe skromne pomieszkanie. Miała córkę, która już dawno trudniła się ręczną robotą na wyżywienie matki; lecz nareszcie matka zachorowała, a wtenczas niespodziewane wydatki na lekarza i aptekę były tak wielkie, że niepodobieństwem było zebrać odpowiednią sumę na komorne. Strapienie matki bardzo bolało serce pobożnej córki, przeto w gorącej modlitwie udała się do Najświętszej Maryi Panny, swej imienniczki, Matki dobrej rady, prosząc o jaką myśl zbawienną. Pomodliwszy się prawdziwie szczerze, przybiegła do matki, wołając: ,,Mam myśl, mam, oto obstrzygę me piękne włosy i sprzedam!'' Matka wzruszona tą ofiarą swego dziecka wachała się na chwilę, ale ponieważ potrzeba była gwałtowna, przeto ofiarę przyjęła, jednakże z tem zastrzeżeniem, że ona sama zaniesie włosy na sprzedaż. W Imię Pana, który swoich nigdy nie opuszcza, udała się z gorzkiem sercem do miasta. Nie długo napotkała pojazd, w którym siedział książę ze swą małżonką, której podane włosy nadzwyczajnie się podobały, i chciała żądaną sumę zapłacić, ale nie prędzej, póki się nie przekona, czyli czasem te włosy nie pochodzą od umarłego. ,,W takim razie, Mości księżno'', — rzekła matka, — ,,proszę ze sobą do mego pomieszkania, a przekonasz się, że te włosy są co dopiero ucięte z głowy mej córki!'' Kiedy księstwo ujrzeli nadobną dziewicę, i dowiedzieli się o co chodzi, to jest o zapłatę komornego, tak się tą bohaterską ofiarą dziecięcej miłości przejęli, że biedzie i nędzy na zawsze zaradzili. Maryą wydali według stanu za mąż i dali jej w posagu 8000 marek na nowe gospodarstwo.



Bądź pozdrowiona Królowo, Matko miłosierdzia, żywocie słodkości i nadziejo nasza!

II.

Wskrzeszenie nieochrzconego niemowlęcia.

We fryzyjskim kraju w Mariengarten doniesiono pewnego razu we wielkim poście, że na sąsiednim folwarku dziecko umarło, nie otrzymawszy chrztu świętego. Było tam zwyczajem, że dzieci we wielkim poście narodzone chrzcono dopiero we wielką Sobotę, i użyto zaraz świeżych olejów i świeżej wody święconej.

Głęboko zasmucony opat wstał zaraz od stołu, udał się do kościoła, rzucił się na kolana, i ze łzami Matki Bozkiej błagał, aby to niedbalstwo, którego on jest przyczyną, naprawiła, wracając umarłemu dziecku przynajmniej tak długo życie, dopóki nie będzie ochrzcone. A w końcu dodał: ,,Najświętsza Panno, ślubuję, że nie wezmę do ust pierwej pokarmu, póki mnie nie wysłuchasz!''

Powstawszy z modlitwy kazał się do ciała dziecka zaprowadzić, położył ewangelią i stułę na nie, — i skostniałe członki ożywiły się, — dusza dziecka — oczyszczona z grzechu pierworodnego przez pobożnego opata, gorliwego sługę Maryi, nazajutrz weszła do niebieskich radości.



Jak dzieci już w rychłej młodości trzeba nakłaniać do czci Naj. Maryi Panny.

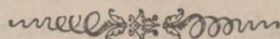
Przypuśćmy, że idąc kto drogą, napotkałby dziecko płaczące i załamujące ręce. Zapytałbym się wtenczas dziecka, czemu płacze. Ono by odpowiedziało, że chce do matki, która mu gdzieś się podziała. Gdyby ów człowiek wiedział, gdzie matka tego dziecka się znajduje, bezwątpienia wziąłby je za rękę i zaprowadziłby do niej.

Czytelnik zrozumie, o jakiej matce tu mowa. Jestto Ta, o której śpiewamy:

Nędzne my dzieci Ewy, wołamy
Do Ciebie, Matko, z płaczem wzdychamy;
Niech nas wspomaga, Twoja przyczyna —
Na tym padole, — Salve Regina!

Tak, to jest prawdziwa Matka, bo chociaż mielibyśmy najlepsze matki ziemskie, zawsze są one tylko córkami grzesznej Ewy, podczas gdy dzieci Boże potrzebują Matki Bożej. Według naszej wiary jest tą Matką Bożą Marya, Matka Jezusa Chrystusa. Ale ta Matka nie jest już na tym świecie i dziecku cieleśnie, widzialnie pokazać Jej nie można, dla tego trzeba Ją dać ujrzeć okiem ducha, to jest przez pouczanie. W każdym katolickim domu znajduje się obraz Matki Bozkiej. Zwróć dziecku nań uwagę, opowiedz, jak jest potężną, wspaniałą, a przytem miłosierną, zaprawdę, w sercu dziecięcia zaszczepisz cześć do Tej, którą czci świat cały. Naucz dziecko ,,Anioł Pański,'' daj mu obrazek albo medalik Matki Bozkiej, naucz modlitwy jakiej, a dziecko pojmie to łatwo i na całe życie wpoi mu się w pamięć. Serce dziecka jest rolą, którą atoli uprawiać trzeba, jeźli ma wydać dobre owoce. Cześć Maryi jest tak rzewną, tak zachwycającą, że każde serce dziecinne się nią przejmie.

Żywot Boga Rodzicy nastręcza jak najpiękniejsze nauki. Niechby rodzice, opiekunowie i przyjaciele dziatek czytywali im stósowne ustępy. A kiedy nastąpi majowe nabożeństwo, tak czułe i do serca przemawiające, wtenczas ojcze, matko, zaprowadź także twe dzieci jużto do kościoła, jużto pod figurę Matki Bozkiej, niech zawczasu pozna i pokocha słodycz, jaka spoczywą w czci Maryi. A tacy rodzice i opiekunowie mogą być pewni, że nie tylko Bóg za przyczyną Najświętszej Panny błogosławić im będzie, ale tak wychowana dziatwa i w późnym wieku będzie się modliła za swych duchowych dobroczyńców.



PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiastki moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

RUSAŁKI.

POWIEŚĆ LUDOWA

przez

Żegotę z Kostrowca.

Ciąg dalszy.

Po tylu cierpieniach nie mogłem się opamiętać. Niepohamowana żądza do czarnoksięztwa rosła i rosła we mnie. Wprawdzie smuciłem się po stracie żony i dziatek, a jednak muszę wyznać o mojem pocieszeniu się tem, że nikt mi głowy już nie będzie suszyć i że najswobodniej oddam się ulubionej nauce.

Cały ciężar gospodarstwa w domu i za domem, co leżał na biednej mojej żonie, spadł na mnie z jej śmiercią. Mój wychowanek, już dorosły i przystojny młodzian, mógł jako tako doglądać i dopomagać, ale małe dziecko zostawało prawie bez opieki.

Jeszcze za życia żony chodziłem ukradkiem do czarnoksiężnika Jastrzębia dla zasięgnienia rad w trudnych tajemnicach: i rzecz dziwna, że ten człowiek zwykle nieużyty przyjmował mię życzliwie i ochotnie uczył. Szło mu zapewne, abym się nie zraził i nie porzucił tej nauki, która dla mnie i dla mojej rodziny tyle nieszczęść zgotowała.

W czasie tych nawiedzin poznałem się z jego córką, młodą i piękną Lubaszą. Czułem w niej coś tak surowego i złośliwego, że mimowolnie na jej widok przenikła mię trwoga: a jednak niewytłumaczony pociąg więził mię do niej i serce moje prawie omdlewało na jej czarowny uśmiech. Ojciec nie lubił jej i trzymał zamkniętą w domu jak niewolnicę; bo też i Lubasza, zaprawiona w czarnoksięztwie, byłaby gotowa zgubić ojca, jeźliby nie miał się na baczności. Największa przeto nienawiść panowała między niemi.

Lubasza, spostrzegając i moję trwogę i słabość dla niej, starała się przysługą ująć mi serce; wykrywała tajemnice czarnoksięztwa, i pozwalała mi czytać ukradkiem różne księgi ojcowskie. Nie trzeba jej było długo pracować nade mną, swoją bowiem pełną zmysłowości zalotnością, a nade wszystko swoją urodą wzbudziła we mnie dziwne i sprzeczne uczucia: bom ją zapamiętale kochał i nienawidził. Czarnoksiężnik Jastrząb, wróg mój zabity, umyślnie pozwolił mi zbliżyć się do córki, aby mi się stała później narzędziem męczarni. Surowe z nią obchodzenie się pobudzało mię do litości i zasłaniało mi oczy na te wady, które były najwidoczniejsze. Czułem doskonale, że ją kochając, stawałem się gorszym, niż byłem rzeczywiście z natury. Jej miłość budziła we mnie coś wściekłego i tak gwałtownego, że gotów byłbym wszystkich mordować. Nigdy ciche, łagodne i słodkie uczucia nie poruszało mi serca: owszem cały ten czas był dla mnie ciągłą męczarnią i trwogą, jakbym żmije trzymał w zanadrzu: a jednak tej męczarni nie pomieniałbym na spokojność najszczęśliwszą w świecie: tak coś było w niej dziwnie ujmującego. Po śmierci tedy żony prędko pojąłem Lubaszę, myśląc, że i opieka nad dzieckiem i gospodarstwo domowe tym się sposobem załatwi: a wreszcie niemałym pociągiem była dla mnie jej sztuka czarodziejstwa.

Niedługo trwały moje miesiące miodowe: wkrótce spostrzegłem, że coś niedobrego klei się w domu. Lubasza wcale nie dbała o mego synka, a jeźli się nim kiedy zaję-

ła, to jedynie dla tego, aby się znęcać nad biednem dzieckiem. Przeciwnie z wychowańcem moim tak się prędko porozumiała, że trudno było wątpić o nieszczęściu.

Jużem uniesiony gniewem i zazdrością, myślał o strasznej zemście, kiedy mię Lubasza uprzedziła. Jednego razu zmęczony troską wróciłem do domu z lasu, kędy szukając ulgi, błąkałem się dzień cały w różnych najsprzeczniejszych uczuciach. Lubasza była nadzwyczaj uprzejmą, pieściła przy mnie synka, i ze łzami starała się rozpędzić wszelkie podejrzenie; ba nawet nalegała sama, aby wychowańca oddalić. Ucieszony nagłą przemianą, dałem się ułudzić tej chytrej kobiecie i nie podejrzywając zdrady, usiadłem najweselszy do wieczerzy. Dziwna rzecz, że potrawa zdawała się psem trącić, ale tak byłem głodny, żem wcale na to nie zważał, a wreszcie nie chciałem w pierwszej chwili pojednania zasmucać Lubaszy wymówką źle zgotowanej strawy. Wkrótce zrobiło się mi nadzwyczaj gorąco i chciałem poprosić wody, aż tu zamiast mowy ludzkiej zawyłem i spostrzegłem z wielkiem zdumieniem, że mnie czarownica w psa obróciła.

Lubasza z piekielnym śmiechem wygnała mnie natychmiast kijem z domu. Tu dopiero zaczęły się moje prawdziwe cierpienia: pojęcie bowiem ludzkie i wszystkie uczucia pozostały, a słowa nie mogłem powiedzieć, i widziałem, że jestem psem zupełnie. Z niewymowną boleścią patrzałem, jak bezwstydnie wychowaniec i Lubasza spędzali chwile: wreszcie tak mi obrzydła ta czarownica, żem obojętnie patrzał na jej niecne postępki.

Bez porównania więcej cierpiałem, widząc, jak oboje znęcali się nad moim synkiem małym. Okropne to położenie! Nie mogłem wziąść dziecka i uciec w świat, a znowu porzucić go samego z tą przeklętą parą, było dla mnie niepodobieństwem. Musiałem przeto chcąc nie chcąc trzymać się swojej chaty. W rozpaczy nieraz chciałem się rzucić na nich jak wściekły i zakąsać, ale samo ich wejrzenie odejmowało mi siłę. Człowiek bowiem przemieniony w zwierzę nie może tym zaszkodzić, którzy tę przemianę sprawili.

Nie powiem, com wtedy od złej niewiasty wycierpiał, która mię bijąc kijem, nie dopuszczała nawet do sieni. Leżałem przed progiem, a i tak nie uszedłem prześladowania: bo oboje przechodząc zawsze mię kamieniem lub kijem poczęstowali. Lubasza dwa i trzy dni jeść nie dawała, musiałem biegać po śmietnikach wioski i żywić się tem, co ludzie czasem wyrzucili, głód bowiem niemiłosiernie palił. Czasem rzucała mi kość twardą przez okno i patrzała ze śmiechem, jak zgłodniały darmo łamałem zęby. Nieraz kiedy wbiegłem do domu, aby synka choć powąchać, oblewała mię wrzątkiem i ledwie przez miesiąc mogłem się wylizać.

Miałem jednak przyjemność, że kiedy wyszli z chaty oboje, wtedy igrałem na przyźbie z moim synkiem, który mię bardzo lubił i nie wiedząc, kto jestem, często wykradał się do mnie, aby się bawić. Nosiłem go na grzbiecie i myślałem często, aby go tak unieść, ale znowu przychodziło do głowy, że ludzie jak spostrzegą to i dziecko odbiorą i mnie zabiją. Tak z moim chłopczykiem żyliśmy w największej przyjaźni i osobliwie latem byliśmy najczęściej razem. Lubasza i tej pociechy mi zazdrościła i bywało, zamykała na złość dziecko w komorze: ale wtedy tak wyłem pod oknami mimo groźb i kijów, że na mój głos zbierały się wszystkie psy ze wsi i chorem w koło chaty wyły: musiała przeto Lubasza wypuścić dziecko z komory dla uciszenia psiej wrzawy. Wszyscy dziwili się, że pies tak przywiązany do dziecka, a mnie serce pękało, bo widziałem moich przyjaciół i krewnych, słyszałem ich roz-

mowy o mnie, a nie mogłem ani się poskarżyć, ani wezwać ich na pomoc.

Tak więc głodny i znędzniony zimą i latem wśród niepogody, mrozów i śniegów leżałem biedny na dworze, podtuliwszy ogon, jedna tylko miłość ku dziecku, sił mi dodawała do przeniesienia tak wielu cierpień. Wówczas bywało leżąc, myślę sobie: jak często obchodziłem się niemiłosiernie ze zwierzętami, i jak ludzie mało na to zważają: a wtedy własnem doświadczeniem poznałem, jak boleśnie każdemu zwierzęciu być niesprawiedliwie bitem i dręczonem. Takem parę lat przebiadował, gdy wreszcie mój biedny synek, nie mogąc dłużej znieść znęcania się macochy, zachorował śmiertelnie. Nie widząc go parę dni, już przeczuwałem nieszczęście i ustawnie wyłem pod jego oknem. Na trzeci dzień z wielkiem mojem zdumieniem Lubasza przywołała mię poraz pierwszy do chaty. Okrutna niewiasta, chciała się ucieszyć moją rozpaczą przy widoku umierającego dziecka. Za wejściem do izby nie mogłem wstrzymać się od żałosnego wycia: ale kij wychowańca prędko mię zmusił do milczenia. Mój biedny synek leżał na gołej ławce, pokrytej tylko płótnem, blady i tak chudy, że jedna skóra zdawała się utrzymać kości, aby się nie rozsypały. Paliła go silna gorączka i nieboraczek prosił wody, a oboje ani się ruszyli, jakby żałośnie chore dziecko nie wołało. Biegałem niespokojny po chacie: chciałem mu w zębach przynieść kubek drewniany z wodą: ale niewiasta bez serca odebrała kubek i postawiła wysoko. W ciężkiej rozpaczy przybiegłem do dziecka i liżąc je wyłem po cichu: chłopczyk z uśmiechem wyciągnął ku mnie rączkę i w tejże chwili skonał. Wtedy wyć zacząłem i nie pamiętam, co dalej ze mną się stało: lecz przyszedłszy do siebie, ujrzałem się na dworze i tak zbitym, że ledwie pomału leźć mogłem.

W rozpaczy i boleści porzuciłem to okropne miejsce i powoli zaczołgałem się w pole, aby tam w samotności głodem się umorzyć ze smutku i pobicia. Ale śmierć wedle życzenia nie przychodzi: w nieszczęściu bowiem dusza bywa tak rogata, że ją i pałką nie wypędzisz, a w rozkoszach za lada dmuchnieniem pryska, jak mydlana bańka.

Już cały dzień przeleżałem w polu pod krzakiem, kiedy pasterze przypędziwszy w to miejsce trzodę spostrzegli mnie i upodobali sobie: miałem bowiem postać dość wielkiego kundysa, co ledwie na brytana nie zakrawał. Dla przynęcenia rzucili mi kawałek chleba: od kilku dni nic nie jadłem i głód niemniej od rozpaczy odzywał się we mnie, jednak długo się wahałem, czy mam wziąść podany posiłek, nim nareszcie chęć zemsty, a może nawet i chęć życia przemogły moje postanowienie.

Ciąg dalszy nastąpi.

ŁEZKI MATULI.

POWIASTKA LUDOWA.

Miała matka chłopczyka siedmioletniego. Był tak ładny i miły, że kto na niego spojrzał, musiał go pokochać. Matka umiłowała go nad wszystko w świecie. Razu jednego chłopczyk zachorował nagle i Bóg wziął go do siebie. Matka była niepocieszona. Płakała ciągle, w dzień i w nocy. Wkrótce po pogrzebie dziecię zaczęło się ukazywać w nocy w miejscach, gdzie siadało i bawiło się za życia. Jeżeli matka płakała, to i ono płakało, a nad ranem znikało. Matka nie przestawała zalewać się łzami; aż jednej nocy dziecię przyszło w tej samej koszulce, w której zostało złożone do trumienki, z wianuszkiem na głowie; usiadło na łóżku u nóg matki i przemówiło:

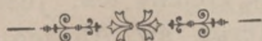
Matko moja, przestańcie płakać, bo nie

usnę w trumience. Koszulka moja wciąż mokra, wszystkie łzy wasze wciąż na nią padają.

Matka przelękła się bardzo, słysząc te słowa i przestała płakać. Następnej nocy dziecko ukazało się znowu. Miało świecę w rączce i powiedziało:

— Widzicie, koszulka już prawie sucha, będę miało spokój w trumience.

Matka ofiarowała swój żal i smutek Panu Bogu i znosiła sieroctwo swoje cicho i cierpliwie. Dziecię nie przyszło już nigdy. Spoczywało spokojnie w podziemnem łóżeczku.



WIOSNA.

Zaszumiały lody,
Popłynęły wody —
Po wesołym lesie
Głos się ptaszków niesie.
Już kwitną na łące
Kwiatki woniejące.
Pójdę ja kwiateczki
Zbierać na wianeczki,
Będę wić wianeczki
I śpiewać piosneczki.

Tak nucą dzieci, kiedy wiosna nastanie. Zima odchodzi i żegna przyrodę, lecz pożegnanie jej wcale nikogo nie smuci, ale przeciwnie, serce i umysł każdego napawa się nadzieją nowego życia. Wszyscy się cieszą i radują, że się kończy panowanie zimna, mrozu i śniegu, a miła wiosna wraca znowu.

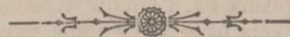
Kwiaty otwierają swe cudowne kielichy i korony; ziemia, zioła, krzewy i drzewa stroją się w zieleń. Bujają gromady ptasząt, brzęczą owady i lśnią motyle.

Zbudź się trawko... już wiosenka
Zapukała do okienka,
Już wiatr chmury porozwiewał
I skowronek już zaśpiewał.

Zbudź się gaju ukochany.
Wszak ty dosyć już wyspany,
Teraz trzeba ci sukienki,
Lubych ptasząt znów piosenki,
Więc listkami się odziewaj
I swym szmerem piosnkę śpiewaj.

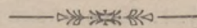
Zbudź się łąko na dolinie.
Widzisz potok szybko płynie,
Już lodowy pancerz zginął,
Potok wstęgę swą rozwinął,
Więc ty łąko strój się w kwiaty,
By czem było ubrać chaty,
I w kościele, na niedzielę,
Trza na ołtarz kwiatów wiele.

I ty ziemio maluteńko
Budź się ze snu prędziuteńko.
Trzeba wywieść ostre pługi
I zaorać zagon długi,
Trzeba posiać ziarna żyta,
Bo się dziaduś o chleb pyta
I są głodne biedne dzieci,
Więc gdy słonko ciepłe świeci
Zbudź się ziemio — przyszedł czas,
Teraz musisz karmić nas!



Zegar.

Ludwisiu! która godzina?
Mówiła matka do syna.
Ludwiś biegnie do zegara.
Zegarowi ma być wiara.
Patrzy.... wskazuje dziewiątą
Dzwoni.... słucha.... bije piątą.
O! doprawdy, powiem mamie
Wszak to stary zegar kłamie.
I powiada rzecz całą.
Potrzeba go naprawić, bo mu się coś stało.
Rzekła mama Ludwisiowi.
Lecz człowiek, co inaczej czyni, niźli mówi,
Nie ma szacunku i wiary na świecie.
Nie bądź takim, moje dziecię.



Oddawać obelgę za obelgę, jest to zemsta ludzka; lecz kochać tego, który nam wyrządził obelgę, jestto zemsta boska.